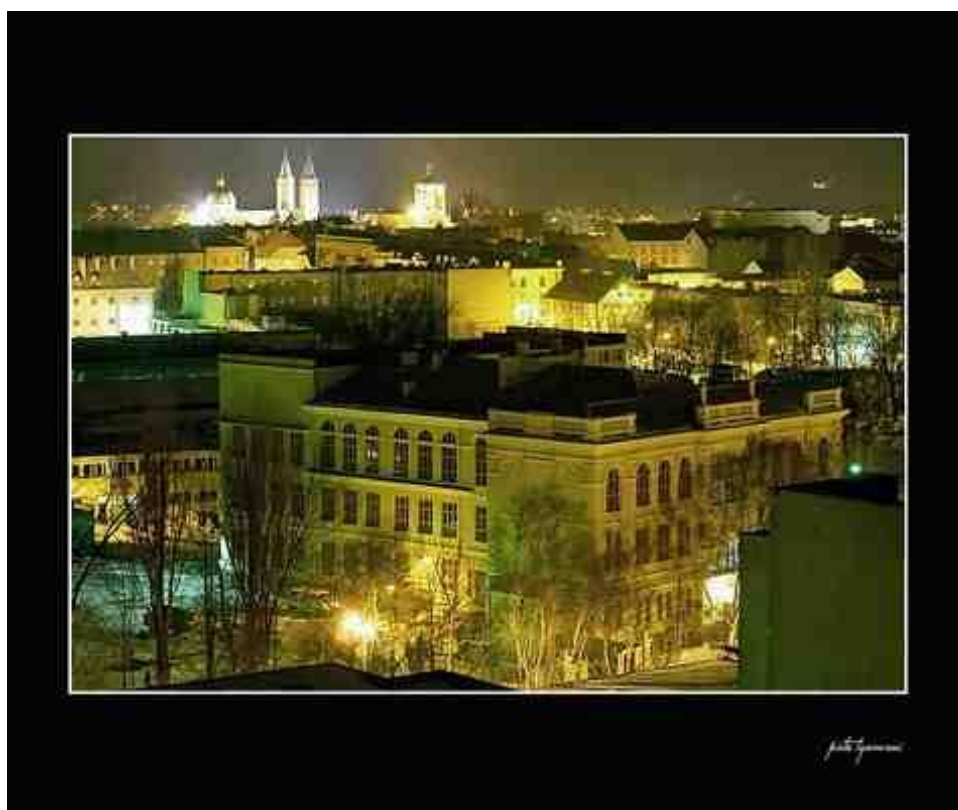


ZESZYTY JAGIELLOŃSKIE

PISMO UCZNIÓW, NAUCZYCIELI I PRZYJACIÓŁ
LO im. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIELŁY W PŁOCKU
NR 95, CZERWIEC 2014, PISMO UKAZUJE SIĘ OD ROKU 2000

**Koło Młodych Twórców
w Liceum im. Władysława Jagiełły**



*Nowe utwory
i prace naukowe Jagiellończyków*

Dotychczas ukazało się 11 numerów „Zeszytów” z utworami uczniów naszej szkoły, w tym dwie antologie opowiadań Jagiellończyków (w nr. 56. i 62.).

- W numerze 23. „Zeszytów Jagiellońskich” opublikowaliśmy wiersze **Adama Adamkiewicza i Krzysztofa Pietrzaka**, absolwentów liceum z roku 2008: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_04_08.pdf
- W numerze 25. „Zeszytów Jagiellońskich” z grudnia 2008 roku opublikowaliśmy wiersze i opowiadania **Lidii Grodzickiej, Mai Chwedoruk, Emilii Turkowskiej i Tomasza Terebusa**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_12_08.pdf
- W numerze 27. „Zeszytów Jagiellońskich” ze stycznia 2009 roku opublikowaliśmy wiersze **Mai Chwedoruk**. Autorski numer autorki nosił tytuł „**Jestem zielona. Wiersze wybrane**”: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr27.pdf
- W numerze 29. „Zeszytów Jagiellońskich” z kwietnia 2009 roku opublikowaliśmy wiersze i opowiadania **Lidii Grodzickiej**. Autorski numer nosił tytuł „**Opowiadania noworoczne**”: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr29.pdf
- W numerze 30. „Zeszytów Jagiellońskich” z kwietnia 2009 roku opublikowaliśmy opowiadania **Mariusza Sepiolo**. Autorski numer nosił tytuł „**Biedak z Queens Street i inne opowiadania**”: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr30.pdf
- W numerze 39. „Zeszytów Jagiellońskich” z grudnia 2009 roku z okazji IV Dnia Humanisty opublikowaliśmy wiersze i opowiadania **Mai Chwedoruk, Bartosza Dobrzyńskiego, Kaliny Maćkowskiej, Joanny Piotrowskiej, Wiktorii Przybyszewskiej, Agnieszki Tomaszewskiej, Alberta Walczaka oraz naszej absolwentki Anny Dwojnych**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr39.pdf
- W numerze 48. „Zeszytów Jagiellońskich” z grudnia 2010 roku opublikowaliśmy **opowiadanie Alberta Walczaka** (oraz jego rozprawę z XXII Olimpiady Filozoficznej), **wiersze Kaliny Maćkowskiej, Aleksandry Bogusławskiej, Wiktorii Przybyszewskiej**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr48.pdf
- W numerze 58. „Zeszytów Jagiellońskich” z czerwca 2011 roku ukazała się **"Pierwsza antologia opowiadań Jagiellończyków"**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr58.pdf
- W numerze 62. „Zeszytów Jagiellońskich” z listopada 2012 r. ukazała się **"Druga antologia opowiadań Jagiellończyków"**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr62.pdf
- W numerze 79. „Zeszytów Jagiellońskich” z grudnia 2012 roku ukazało się 5 opowiadań (utwory **Pauliny Boraczyńskiej, Magdaleny Olkowicz, Izabeli Rutkowskiej, Ewy Kostaneckiej (Surreal), Ewy Tyburskiej**) i jedna sztuka teatralna – utwór **Martyny Kisio**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr79.pdf
- W numerze 94. „Zeszytów Jagiellońskich” z maja 2014 roku ukazał się tomik wierszy **Natalii Lewandowskiej**, uczennicy klasy Ia: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr94.pdf

W numerze 95. „Zeszytów Jagiellońskich” zamieszczamy utwory i prace naukowe naszych uczniów oraz tegorocznych absolwentów.

Zeszyty Jagiellońskie. Pismo Uczniów, Nauczycieli i Przyjaciół Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Płocku
Redakcja: ul. 3 Maja 4, 09 – 402 Płock; <http://www.jagiellonka.plock.pl>; (024) 364-59-20
lwjszkola@jagiellonka.plock.pl;
Opiekun zespołu: Wiesław Kopec (wkopec1@wp.pl)
Zespół redakcyjny: członkowie Koła Młodych Twórców w LO im. Wł. Jagiełły.

Bardzo długi tydzień

W poniedziałek trzynastoletnia Jal uczy się kochać. Trochę krzyczy, trochę protestuje, więcej płacze. Jest raczej nieśmiała i zakompleksiona, ale bardzo chce kochać i wydaje jej się, że potrafi. Ma parę koleżanek i tego dnia, o piętnastej trzydzieści siedem, dochodzi do pięknego i jednocześnie przerażającego wniosku, że nie wyobraża sobie bez nich życia. O siedemnastej piętnaście nazywa to przywiązaniem. Jal płacze, ponieważ przeraża ją to, jak szczęście innych staje się ważniejsze niż jej własne. Prawdopodobnie jest dobra, ale ona nie chce być dobra. Chce być szczęśliwa.

Jal lubi Jamesa z klasy wyżej, ale nie może o nim nawet myśleć, ponieważ nie ma biustu, jest pryszczata i wygląda jak patyk.

We wtorek czternastoletnia Jal zastanawia się, czy potrafi nienawidzić. Spędziła właśnie uroczy dzień, rozmawiając z koleżankami i kolegami podczas każdej przerwy. Powiedzieli jej, że jest miła i zabawna, a ona pomogła im rozwiązać ich osobiste problemy. Jal poczuła, że kocha ich całym sercem. I była tak przepełniona miłością jak najszczęśliwszy człowiek na ziemi.

Dopóki nie wróciła do domu. Jal pomyślała, że nienawidzi swoich rodziców. O dwudziestej pierwszej dwadzieścia trzy wrócił tata. Pijany. Mimo że obiecywał, iż to już się nie powtórzy. Jal wierzy w obietnice, ale jest zbyt przerażona, aby to przyznać. Jal nie może już tego znieść, więc zamyka się w swoim pokoju.

O dwudziestej drugiej dwadzieścia osiem, kiedy wykończona dziewczyna próbuje zasnąć, słyszy krzyki mamy. Głos mamy jest tak głośny i piskliwy, że serce Jal rozpada się na milion kawałków. Chce stąd uciec, ale przecież czternastoletnie dziewczynki nie wychodzą z domu we wtorki o dwudziestej drugiej trzydzieści jeden, ubrane wyłącznie w piżamę. Zamiast tego Jal zasypia, starając się nie płakać już więcej. Następnego dnia w szkole kłamie Mirandzie, że nienawidzi swojego domu.

W środę Jal ma już piętnaście lat i poznaje, czym jest tęsknota. Jal naprawdę, naprawdę lubi Andrew z jej klasy, który jest jej dobrym kolegą. Ale Jal nie może go lubić. Jal nauczyła się już, że randki to nie rzecz dla niej. Jal jest zbyt przerażona na to.

Na dodatek Caroline ignoruje ją. Jal stara się z tym pogodzić. Myśli, że jest niewystarczająco dobra, potem, że Caroline jest kłamcą. Stara się pogodzić z tym, że przyjaźń się kończy. Zastanawia się, co zrobiła nie tak. I płacze, ale tak po cichu, żeby mama ani tata nie usłyszeli, ponieważ to ich się boi najbardziej na świecie.

W czwartek Jal jest szesnastolatka. Stara się wymazać z pamięci Caroline, o której nie potrafi myśleć bez bólu. Nadal lubi – tylko lubi – Andrew i coś jej mówi, że jej szesnastoletnie serce ma tego dosyć.

O osiemnastej dwadzieścia siedem jej własne myśli zaczynają ciągnąć ją ku ziemi. Przynajmniej tak się czuje. Wchodząc do znajomego domowego piekła, zaciska bardzo mocno powieki i marzy o tym, żeby znaleźć się gdzieś indziej. Gdy podchodzi do niej mama, z przekrwionymi oczami i piwem w ręku, i zaczyna coś krzyczeć na temat bałaganu w pokoju, ma ochotę jednocześnie ją uderzyć i zabrać do okulisty, aby nareszcie przejrzała na oczy.

W piątek Jal ma siedemnaście lat i dowiaduje się, czym jest strata. Jest dwudziesta pierwsza czterdzieści sześć i Jal nie tańczy w klubie nocnym. Jal nie ogląda filmu z Nicole. Jal płacze i trzęsie się, ponieważ Mirandy już nie ma. Jal jest raz pełna poczucia winy, bólu, rozhisteryzowana, a raz pusta w środku. Nie ma do kogo iść i czuje się najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi.

W sobotę osiemnastoletnia Jal jest już pełnoletnia i ani trochę dojrzała. Jest tylko zmęczona, i jeśli to jest częścią dorosłości (a jest, Jal dobrze o tym wie), czuje się w tym momencie jak trzydziestolatka. Jal zastanawia się, czy widzi dla siebie jakąkolwiek przyszłość. Jal czuje się nikim. Czowała się tak, odkąd skończyła cztery lata, więc myśli sobie, jak prosto byłoby nienawidzić swoją matkę.

Z tym że Jal nie potrafi nienawidzić. Potrafi tylko kochać i to jest jej problemem. Jal nie znosi siebie za to, że potrafi zbudować gruby, wysoki mur w swoim sercu, a nie potrafi przestać martwić się o rodziców. Którzy są nieszczęśliwi. I dlatego unieszczęśliwiają ją. Jal postanawia, że nigdy nie będzie mieć dziecka.

W niedzielę Jal ma dziewiętnaście lat i oddałaby wszystko, aby wrócić do dawnych czasów i przeżyć je jeszcze raz, inaczej. Jednocześnie wie, że nie dałaby rady tego powtórzyć.

Jal spotyka się z Philem, który namawia ją do seksu, ale ona za każdym razem mu odmawia. Jal ma zbyt dużo kompleksów, aby pokazać mu się nago. I Jal nie chce dopuścić do siebie myśli, że kocha Phila i, być może, on kocha ją. Bo przecież mama nauczyła ją, że nie można jej kochać. Gdyby było można, to mama by ją kochała, prawda?

Jal wyjeżdża do innego miasta, dwieście kilometrów stąd. Powinna być podekscytowana i przygnębiona jednocześnie, ale jedyne, co czuje, to ulga. Jal nareszcie robi coś, na co ma ochotę. Obiecuje Philowi i Nicole, że nie zapomni o nich i że będą widywać się co tydzień. Jal wie, że to kłamstwo, i że to oni prędzej zapomną o niej. Jal nie powinna przez to płakać, ale jadąc pociągiem, nie może przestać ronić łez. Jal nie chce tęsknić i nie chce się przywiązywać, ale nie potrafi tego nie robić.

Dobranoc na zawsze

- Aniu... - jej cichy szept rozbrzmiewa w całym pokoju. Jesteśmy tutaj tylko my dwie.

- Przecież nie powinno cię to dziwić, mam, dlaczego więc tak na mnie patrzysz? Zawsze byliśmy samotne. Od dziecka uczyłam się, że mam tylko ciebie. Inni przychodzili i odchodzili zawiedzeni, spróbawwszy tylko poznać mnie lepiej, zobaczyć, kim jestem naprawdę. Nie pozwalałam im. Przywiązanie do kolejnej osoby równa się następnemu rozczarowaniu. A ja nie mogę sobie na to pozwolić. Jestem bardzo zmęczona życiem, ledwo udaje mi się podołać obowiązkom, których ciężkie brzemie spoczywa tylko na mnie. Wiesz, jak to jest, prawda? W końcu ty też zawsze byłaś skazana tylko na siebie.

Czasami zastanawiałaś się, co robisz źle, że ci się nie układa. Niekiedy próbowałaś coś nowego zbudować, jednak wiedziałaś, iż to i tak runie, niczym starannie tworzone domki z kart. Tak było z każdą nową pracą, mężczyznami w twoim życiu, koleżankami, nawet kontakty z naszą dalszą rodziną nie wyglądały najlepiej. Wiesz, czemu tak się działo? Ponieważ w głębi duszy jesteśmy takie same. Żyjemy według prostych reguł: nie ufać, nie zbliżać się, nie dopuszczać do siebie, nie zakochiwać się. Gdzie się podziało moje młodzieńcze szaleństwo, które miało mi kazać łamać wszystkie zasady? Gdzie twój rozsądek, myślenie jak u dojrzałej osoby? Niewiele pozostało w nas radości życia, a przecież bez tego nie mamy tutaj co robić. Mój entuzjazm został zniszczony przez szarą codzienność, nieustanne zmartwienia, próby związania końca z końcem, pomaganie tobie, gdy przestałaś już dawać sobie radę sama...

- Aniu...

Spójrz na nasz dom, mam. Kiedyś był inny, tak samo jak my. Pamiętasz, jak byliśmy jeszcze odrobinę mniej opuszczone? Tata miał w zwyczaju brać mnie na swoje kolana i tłumaczyć mi świat. A ja mówiłam mu, tak w sekrecie, co chcę robić, gdy już będę duża, taka duża jak on, jak ty, jak te drzewa w ogrodzie. Słuchał tych planów, czasami śmiejąc się, czasem z poważnym wyrazem twarzy. Ciekawe, czy już wtedy zdawał sobie sprawę, że nigdy nie dowie się, czy udało mi się spełnić moje marzenia ze szczenięcych lat?

Obiecał mi, że będzie na moim ślubie i hucznym weselu. Miał dopilnować, abym skończyła dobre studia. *Taka osoba jak ty musi w życiu zajść daleko. Kiedyś będziesz wyżej niż ja*, mawiał. Wydawało mi się to wtedy takie nierealne. Przecież to on był moim nauczycielem i przewodnikiem, jak więc mogłam kiedykolwiek stać się kimś lepszym niż on? A ty, mam, nie chciałaś mi tego wyjaśnić. Uśmiechałaś się, patrząc na nas z czułością, mówiłaś: *Słuchaj się taty, na pewno ma rację*. Okłamaliście mnie. Przecież teraz dobrze wiesz, dokąd doszłam. Nie jestem zła ani dobra, ja po prostu... nie istnieję w społeczeństwie. Jeśli ktoś mi nie pomoże, nie będę w stanie ruszyć z tego miejsca. Ale jak ktokolwiek ma mi pomóc? W końcu to ja nie pozwalałam ludziom, aby podchodzili za blisko. O, tu jest granica, wystarczy. Oddalcie się trochę, inaczej skulę się jak mimoza.

Stałam się taka, zanim jeszcze tata zmarł. Pamiętam jego śmierć i emocje, które mi wtedy towarzyszyły. Chociaż... czy można nazwać to emocjami? To było bardziej jak czarna dziura, uczuciowa pustka. Jak gdyby w środku mnie nie było nikogo. Ty płakałaś. Czułam straszne wyrzuty sumienia za to, że go zawiodłam, nie byłam nigdy taka, jaką chciałby, żebym była, nie zasługiwałam na otrzymywaną miłość, nie potrafiłam jej do końca odwzajemnić... Ty wciąż płakałaś. Ten okres życia był dla mnie niezwykle trudny, wiesz? Nie pomogłaś mi wtedy ani ja tobie nie pomogłam. Zostałyśmy pozostawione na pastwę zżerającego nas bólu, choć każda z nas odczuwała go inaczej. Ponieważ sypało się wszystko naraz, zaczęłam brać narkotyki, aby odciąć się od tego świata, przestać być jego częścią... A ty wylaś po nocach.

- Aniu!

Nie mam do ciebie pretensji za to, że teraz wszystko jest nie tak, jak powinno. Ani nawet o to, że mnie w tej chwili opuszczasz. Zostanę teraz tylko ja w tym ponurym domu, który, teraz to widzę, tak naprawdę nigdy nie tętnił życiem. Będę się snuć od pokoju do pokoju, próbując znaleźć sobie jakiegokolwiek zajęcie. Doznałaś kiedyś całkowitej samotności? Byłaś *zamknięta* pośród czterech ścian? To takie... przytłaczające. Paradoksalnie, ta przestrzeń źle na mnie działa, czuję, jakbym się dusiła, nie mogę złapać tchu...

- Spójrz na mnie...

Nie szukaj mojej ręki, mam. Przecież jestem przy tobie. Śmierć jest kurwą, wiesz? Mogłoby być inaczej. Mogłybyśmy być szczęśliwe. Jak śmiesznie to brzmi, prawda? Niczym z taniego filmu. Życie pełne kolorów chyba po prostu nie było nam pisane. To już teraz? Ten moment? Odchodzisz? Dobranoc, mam. Och, te przekłete łzy, kapią jedna za drugą. Jak krople deszczu uderzające o szybę, które kiedyś obserwowałam w nudne jesienne wieczory. Śnij dobrze, jeśli masz się już nigdy nie obudzić. Kocham cię, naprawdę. Tyle jeszcze potrafię.

Studium dziewiątego przypadku

Bardzo potrzebowałam kogoś, kto pomógłby mi odnaleźć się w tym wszystkim. Jak dotąd najtrudniejszą rzeczą dla mnie było dowiedzieć się, kim jestem i czego potrzebuję. Czego chcę? To pytanie cały czas pozostawało bez odpowiedzi. I zawsze szukałam jej w innych.

Jedynka. Był taki ujmujący i miły. Wiedział, do czego dąży, i gdy już obrał sobie jakiś cel, nie pozwalał się rozpraszać. Taki podobny do mnie, a jednocześnie tak bardzo mi przeciwstawny. Normalny aż do bólu, zarazem wewnętrznie przekorny. Nieszczęśliwy, podobnie jak ja. Męczący. Obserwowałam, jak powoli stawał się niezdrowy. Krytykujący. Jak bardzo chciał wszystko zmienić, w tym mnie samą. A ja, choć nie wiedziałam, czego pragnę, wiedziałam jedno – że nienawidzę być do czegoś zmuszana. To jedna z naprawdę niewielu rzeczy, których nie toleruję. Zostawiłam go. Ku jego niezadowoleniu, sprawy nie potoczyły się tak, jak chciał. Potrzebował mnie bardziej niż ja jego. A to było nie na porządku dziennym, zaczynałam się w tym dusić.

Dwójka. Najlepszy z nich wszystkich, a jednocześnie wywoływał we mnie najgorsze emocje. Nie potrafiłam go po prostu zniechęcić, nie byłam w stanie nawet być na niego zła bez wyrzutów sumienia. Dawał mi wiele od siebie, a jednocześnie był jakby gdzieś obok, nieobecny. Przytłoczony moją nieustającą potrzebą kontaktu. Doprowadzał mnie do szaleństwa. W oczach innych stanowiliśmy parę idealną, wręcz mdłą, a tak naprawdę odchodziłam od zmysłów, czując się zaniedbywana i porzucona. Był kochany, ale nie dla mnie. Zbyt... dobry. Połączenie dawcy z dawcą to kiepski pomysł.

Trójka. Pracoholik. Uciekał w wir roboty od wszystkich problemów, które wymagały natychmiastowego rozwiązania. Z początku było idealnie – wspieraliśmy się, jednak bez dzielenia wszystkich sfer życia. Żyliśmy oddzielnie, lecz trwaliśmy razem. Problem pojawił się, gdy zaczął wybierać swoją pracę, znajomych. Poczulałam się jak dodatek do jego wspaniałego życia, jak dobra mama, która czeka na dziecko z talerzem gorącej zupy. Ani on, ani ja nigdy nie wspomnieliśmy, że cokolwiek jest nie tak. Ale było, niezaprzeczalnie było. Dlatego powiedziałam mu, że nie chcę dłużej mieszkać z nim, będąc niezauważaną jak stary mebel.

Czwórka. Fascynujący. Przyciągnął mnie do siebie natychmiast. Rozumiał mnie. Chciałam przebywać w jego towarzystwie, jednak był już którymś z kolei, a więc zdążyłam stać się lękliwa i zdystansowana. Mimo wszystko uspakajał mnie sposób, w jaki okazywał oddanie. Wiedziałam, że jestem dla niego ważna. A potem zaczęłam tylko dawać od siebie, a on to przyjmował – bo przecież dlaczego miałby tego nie robić? Poczulałam, jak znikam w tym związku, maleję coraz bardziej, wraz ze swoimi pragnieniami i własnym zdaniem, które dla niego przestały się liczyć (czy kiedykolwiek się liczyły?). Zaczęłam odczuwać gniew, skierowany w jego stronę i wobec siebie samej. Więc uciekałam, odciąłam się od niego i jego znajomych.

Piątka. Chorobliwie spokojny. Akceptował moją potrzebę przestrzeni tylko dla mnie jak nikt. Nie przyciągał mnie do siebie jakoś szczególnie mocno od początku, ale polubiłam go, a po pewnym czasie także przyzwyczyłam się do niego. To był stabilny, pełen akceptacji związek. I choć pozornie wyglądaliśmy na spokojnych, zaczęłam odczuwać pasywną agresję,

gdy próba przebicia się przez jego aurę tajemniczości za każdym razem kończyła się fiaskiem. Pragnęłam pomagać, a on tej pomocy nie chciał przyjmować. Po dwóch latach znudziłam się i zmęczyłam.

Szóstka. Cudowny, jak brakująca połówka mnie. Ludzie wokół twierdzili, że będziemy zawsze razem. Byliśmy nierozłączni. Wiedział, kiedy ma mówić, a kiedy milczeć. Potrafił sam wypytać się o rzeczy, które chciałabym powiedzieć, ale się boję. Sprawiał, że czułam się kochana i potrzebna, ale tylko do czasu. A potem zaczął ode mnie wymagać, a ja byłam przerażona i wycofywałam się. Miał pretensję o to, co przemilczałam, ja w duchu robiłam mu wyrzuty, że się nie domyśla. Przywiązałam się za bardzo. Ten kontakt było mi urwać najtrudniej ze wszystkich. Miałam wrażenie, że nie potrafię bez niego oddychać. Ale po paru latach – udało mi się przestać go potrzebować.

Siódemka. Polubiłam go od początku, ale nie sądziłam, że zwróci na mnie uwagę, a tym bardziej – że połączy nas jakaś głębsza relacja. Ja, zamyślona, wycofana, spokojna, z drugiej strony on – wesoły, pełen życia. Lubił jednak marzyć i snuć dalekosiężne plany, co bardzo pasowało do mnie. Praktycznie nigdy ich jednak nie realizowaliśmy. Początkowo nasza relacja wyglądała jak sielanka – jemu pasowało moje lenistwo, ja łatwo przejmowałam jego brak przejmowania się czymkolwiek, przymykając oko na nieład i chaos, który wokół siebie wytwarzał. Stopniowo jednak jego brak zaangażowania i oziębłość zaczęły mi przeszkadzać. Zastanawiałam się nawet, czy on mnie w ogóle kocha. Jemu chyba nasz układ również przestał odpowiadać i postanowiliśmy, że pozostaniemy przyjaciółmi.

Ósemka. Równie uparty jak ja, lecz zdecydowanie mniej w nim było łagodności. Niebezpieczny. Najbardziej niezdrowy z nich wszystkich. Gdy go poznałam – chciał bronić mnie przed światem. Potem próbował mną rządzić; natrafiał na nieustanny, niemy opór. Irytował mnie. Stał się o mnie chorobliwie zazdrosny. Nieraz krzyczał, że bez niego byłabym nikim, że nie mam żadnych zainteresowań, żadnej przyszłości. Nie widział ich, był głuchy na moje argumenty. Potem przeproszał, przekonywał, że żałuje wszystkich przykrych słów. Przykrych słów? Przyjmowałam jego przeprosiny, udawałam, że wierzę w te zapewnienia, a on był usatysfakcjonowany. W końcu chciał tylko dostawać to, czego pragnął. I znów wszystko zaczynał o się od nowa, wymawiał mi, że nie jestem w ogóle zaangażowana. Chciał, bym stała się jego kolejną własnością. Bałam się go, więc uciekłam.

Dziewiątka. Podobny do mnie. Kochany, czuły, oddany. Było nam razem wygodnie i... nudno. Nieraz widziałam lustrzane odbicie w jego zachowaniach, jednocześnie dziwiąc się, jak bardzo różnymi się na wielu polach. Był jak para znoszonych kapci, miłutki, przyjemny, ale niezbyt mnie cieszyło bycie z nim. Oboje staliśmy w miejscu, jeszcze bardziej zatracając się we własnej beczynności. Dlatego jego słowa, że lepiej byłoby, abyśmy przestali się widywać, wyrwały mnie ze swoistego transu, w jakim się pogrążyłam. Pożegnanie było może niezbyt dramatyczne, ale za to w zgodzie i z klasą. Poczulałam się w tym momencie tak dojrzałe.

Autorka o sobie (notatka pisana przed zakończeniem roku szkolnego klas III/dziś Autorka jest już absolwentką LWJ):
Nazywam się Karolina Michałowska i w tym roku kończę moją edukację w Jagiellonce. Mam nadzieję studiować na Politechnice Warszawskiej, aby w przyszłości zajmować się badaniem nanostruktur. W wolnych chwilach piszę opowiadania i uczę się języków obcych. Zauroczył mnie w szczególności język włoski, a także włoska muzyka. Jeśli już o muzyce mowa, to często słucham także zespołów koreańskich. Mam różnorodne hobby, począwszy od tych typowych, jak zbieranie pocztówek czy czytanie książek, skończywszy na nieco bardziej oryginalnych, jak kynologia lub kolekcjonowanie kieliszków z różnych stron świata.

POPIS

*„Działanie sztuki polega na zdolności ludzi
do zarażania się uczuciami innych ludzi”.*

Lew Tołstoj

Zbliżała się trudna dla Marka chwila. Stał na korytarzu ubrany w lśniące, o głębokiej czerni pantofle, czarne spodnie i szarą kamizelkę z czarnymi, błyskającymi światłem odbitym guzikami. Do tego miał na sobie śnieżnobiałą, elegancką i zarazem prostą, zwykłą koszulę. Brak marynarki dodawał do jego elegancji szczyptę szarmanckości. Jednak w jego zachowaniu wybijało się coś, co krzątało się zawsze w takiej chwili w duszy każdego artysty: Stres. Nie pozwalał mu ustać w jednym miejscu. Zstępował z nogi na nogę i spoglądał to na jasnobrązową podłogę i czerwony dywan, który nie był już tak wykwinny jak niegdyś, pokryty licznymi odciskami stóp ludzkich i brudem, to na otaczające go białe ściany pokryte gdziegdzie plamami szarych palców, a nawet całych rąk, to na biały sufit, w którego kątach i ugięciach ukazywała się wiekowa szarość zwykłej prozy życia szkolnego.

Jego ręce ciągle zmieniały swoją pozycję, raz je zakładał na klatce piersiowej, po czym związywał je sobie z tyłu jak zwykli to robić wielcy dyplomaci, politycy czy też myśliciele. Jednak i to nie pomagało w walce ze stresem. Krople potu pojawiły się na jego jasnym czole, a brązowe włosy połyskiwały w świetle żyrandola. Jego koledzy i koleżanki stali tuż obok. Niektórzy z nich czekali w spokoju na swoją kolej rozmawiając szeptem, w którym można było wyczuć lekkie drżenie zdenerwowania, inni zaś, którzy byli już po swoim występie, z wyraźną ulgą i luzem rozmawiali tonem lekko wybijającym się ponad drżące szepty tych poprzednich. Czasem, jeśli ich głosy stawały się wyraźniejsze, uciskał ich stojący przy drzwiach nauczyciel, a wszyscy w pokorze (prawie że zupełnie) milkli na chwilę. Ci, co już mieli trud występu za sobą, jakby nieco bardziej przez to doświadczeni dodawali otuchy i wsparcia tym, których chwila prawdy nieubłagalnie się zbliżała. Wszyscy byli wobec siebie życzliwi, a wokół panowała atmosfera przyjaźni i wspólnoty. Jednak był człowiek, który sprawował pieczę nad całym tym wydarzeniem. Niczym wielki konduktor uważnie kontrolował koncert oraz kierował całą niepokorną rzeszą młodych artystów. Taką funkcję sprawował nie kto inny jak pan profesor Kleszczyński, nauczyciel i wychowawca klasy fortepianu. To on wzywał uczniów i wysyłał na salę zgodnie z rozkładem jazdy, który posiadały trzy osoby: on sam oraz dwóch uczniów zapowiadających: chłopak i dziewczyna, najczęściej ze starszych klas. Ubrani byli bardzo elegancko oraz wykazywali się niezwykłymi manierami i kunsztem recytatorskim. Nie raz ćwiczyli ten program w domu i w szkole z nauczycielem. Pan profesor oprócz pilnowania całego wydarzenia kulturalnego, podwyższał również morale swoim uczniom. Wspierał ich duchowo szczerym uśmiechem na twarzy i dobrym słowem. Czasami dopowiedział ostatnie wskazówki. Na korytarzu panował nieprzerwany ruch jak na cichym, monotonnym dworcu kolejowym. Gdy wychodził muzyk, wtedy na salę wkraczali zapowiadający. W tym czasie profesor przywoływał do siebie następnego pianistę, jeszcze przed swoim występem, aby mógł w spokoju wyciszyć się przed nadchodzącym pojedyńkiem, ponieważ występ jest pojedyńkiem: nie tylko z twardym, opornym jak czarny byk fortepianem, lecz również ze swoim wewnętrznym wrogiem, który nazywa się Lęk. Gdy wychodziła para zapowiadających, wtedy wkraczał przyszły wykształcony grajek. Przy całym tym zamieszaniu czuć było delikatne ruchy drzwi i subtelne ich zamykanie wykonywane oczywiście przez wielkiego konduktora.

Całe towarzystwo młodych wykonawców stroniło od tych wrót koncertowych. Nie chcieli bowiem przeszkadzać tym, których chwila pojedynku nieubłaganie się zbliżała. W takim też momencie był Marek. Już właśnie za chwilę miał wkroczyć na scenę. Mimo cichych, rzadkich rozmów i przejmującego stresu zdołał się wyciszyć. Nie myślał nic i nie zadawał pytań. Po prostu czekał. Nauczyciel, brodacz w ogromnych, okrągłych okularach, oparł się przy lekko uchylonych drzwiach i nasłuchiwał. Czasem lekko syknął, coś mruknął pod nosem do siebie. Była to często wykorzystywana przez tego dobrego nauczyciela metoda weryfikowania błędów i postępów swoich uczniów. Taki koncert, nazywany zarówno wśród uczniów jak i nauczycieli „popisem” był idealną ku temu okazją. Kiedy wysoki uczeń wrócił na korytarz, odetchnął z ulgą. „On już jest po...” - pomyślał Marek. Młodzik dobrze znał to uczucie, w końcu gra już nie pierwszy raz. Nauczyciel zaraz zwrócił się do swego ucznia:

- No, Karolu, występ uważam za udany. Zabrakło tylko *crescenda* na początku drugiej części. To znaczy, ono było, lecz trzeba je jeszcze bardziej podkreślić, uwydatnić... Było tam jeszcze trochę drobnych błędów, ale to omówimy we wtorek, na lekcji. - po czym dodał z uśmiechem - Tak to reszta była w porządku.

Marek zbliżył się do drzwi. Sędziwy nauczyciel spojrzął na niego z góry i rzekł:

- Teraz kolej na Ciebie, Marku. – po czym dodał uspokajającym tonem – Spokojnie, na lekcji grałeś całość z pamięci bez błędów, więc teraz też dasz radę.

- Ale panie profesorze... - odezwał się zmartwionym głosem młody uczeń – Rano, jak grałem, to myliłem się często, zacinalem się, musiałem zajrzeć do nut.

- W takim razie teraz wyjdzie Ci na pewno. – odparł pan Kleszczyński, przecierając szmatką swoje okrągłe okulary.

Zza drzwi wyszli zapowiadający. Marek poczuł na plecach dłoń nauczyciela, która zachęcająco popychała go do środka strojnej jaskini pełnej ludzi cichych i słuchających, jakby niepodobnych do siebie.

Pewien nauczyciel mówił do swych uczniów: „Pamiętajcie, publiczność jest okrutna”. Czy tak jest doprawdy? Marek przeszedł przez stare drzwi, za którymi rozprzestrzenił się widok, na który nawet nie zwrócił uwagi. Ani na moment się nim nie zachwycił. Spojrzy, a nie spostrzeże go. Na dużej okrągłej scenie, na którą padał blask jasnego światła z reflektorów zawieszonych na suficie, w samym centrum stał fortepian ustawiony bokiem do publiczności. Był to lśniący, potężny instrument, nieskazitelnie czarny, czekał na swojego przeciwnika. Czy młody pianista będzie w stanie ujarzmić tego nieposkromionego byka? Kłapa fortepianu była otwarta, ukazując wszystkim swoje nieco przykurzone połączone wnętrzności, a przez całą długość rozciągnięte były rzędy strun: tych cienkich, srebrzystych, połyskujących oraz tych grubszych o miedzianym odcieniu. To wszystko, w całkowitym napięciu i spokojnym milczeniu czeka w zupełnej ciszy. Czy młody pianista jej sprostą?

Marek bez jakiegokolwiek przystanku postąpił naprzód, zatrzymując się niedaleko skraju światła i ciemności, tam gdzie kończyła się scena. Z lewej i prawej strony zwisały potężne płachty ciepłej, czerwonej kurtyny, trzymającej na sobie napięcie stresu dzisiejszych wykonawców, którzy zostawiali je tu po części, po swoim wykonaniu. Wielu mogłoby pomyśleć, że w tym właśnie szczególnym momencie przez głowę młodego muzyka przelatywał istny natłok myśli. Absolutnie, nic z tych rzeczy. Jego umysł był na tyle skoncentrowany, że przemykały tylko mechaniczne rozkazy zasad wychowania i ich automatyczne wykonywanie. Marek spojrzął przed siebie oczyma zdenerwowanymi, aczkolwiek skupionymi. W głębi osnutej półmrokiem, na licznych wyściełanych czerwonym aksamitem fotelach, które poustawiane były półkolem jak w greckim teatrze siedziała publiczność. Białko oczu poszczególnych widzów szkliło się monotennie, nie wyrażając pustki, lecz milczące oczekiwanie. Czy obudzi w nich jakikolwiek błysk lub uczucie, to zależało tylko od niego samego. Widzowie wpatrywali się w młodego artystę, który miał wrażenie jakby był jedynym interesującym obiektem na scenie. Siedzieli w ciszy i słuchali

z uwagą i zarazem niecierpliwością, która przynaglała muzyka do grania, gdyż ucho widza jest głodne i łaknie. Któż więc jest tu władcą i panem? Ten, który gra, czy ten, który słucha?

Marek pokłonił się, zaś publiczność przywitała go krótkimi brawami. Potem zbliżył się do fortepianu nerwowym nieco krokiem, usiadł na stołku, który przybliżył do klawiatury i nieco podwyższył. Były to czynności, których Marek nie znośił robić przed publicznością. Pełen stresu ma jeszcze myśleć o wyregulowaniu stołka, kiedy nagliła go niepokojąca, niezręczna wręcz cisza. To przedłużające się, nieznośne milczenie sali krępowało chłopaka. Wydawało mu się, że to bardzo niecierpliwiło publiczność, która w ciągłym pędzie życia codziennego łaknęła dźwięku tu i teraz. Kiedy dokonał szybkich i zręcznych dopasowań, usiadł z melancholijnym niepokojem za białą-czarną klawiaturą. Te klawisze, którymi można nowe światy budować mają być uczestnikami mechanicznej, wyuczonej gry utworu Bacha, czy też innego kompozytora, niczym trybiki w maszynie? To nie do końca tak, każdy ten utwór jest osobnym światem, w którego budowie na swój jedyny, niepowtarzalny sposób włącza się współczesny wykonawca. On, Marek Dobrzyński wraz z Kuhlau'em lub Haydnem ma być współtwórcą nowego pięknego świata. W takim razie wykonawca jest również po części kompozytorem. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe, czyż jednak tak nie jest?

Młody pianista popatrzył chwilę na klawiaturę, położył na niej swoje drobne dłonie i poczekał chwilę. „Najważniejsze to spamiętać pierwsze nuty, pierwsze ustawienie rąk, a reszta pójdzie w miarę gładko”. Markowi naprawdę wydawało się, że całe wykonanie jest tylko mechanicznym działaniem mięśni, z dodaniem nieco szczypty uczuć od siebie. Młody pianista zagrał pierwsze dźwięki. Jego serdelkowe palce działały solidnie, równo i automatycznie. Starał się nie myśleć zbyt o tym, co gra, nie ingerować w działanie swoich dłoni. Przecież one same pamiętają jak grać! Z wnętrza fortepianu wydobywała się czysta harmonicznie fala zdrowych i przejrzystych dźwięków pierwszej inwencji Jana Sebastiana Bacha. Brnęły one w głąb publiczności odważnie, bez jakichkolwiek opóźnień, nie patrząc na przeszkody przed sobą. Marek mógł posłać przez uszy do serc szczególny głos, który mógł je zarówno ukoić w melancholijnym śnie jak i wzburzyć do łez. Któż więc jest tu władcą i panem? Ten, który gra, czy ten, który słucha?

W tej szczególnej dla niego chwili odczuwał niewielki lęk, który lekko paraliżował jego ciało. Odczuwał chłód, szczególnie w ramionach i dłoniach. Jednak skupiony wyłącznie na grze miał jeden cel - dobrać do końca inwencji, bez jakiegokolwiek błędu. Obawiał się wpadek, które mogły wyrzucić go ze zmechanizowanego transu. Wystarczył jeden błąd, jedna fałszywa nuta, a mógł całkowicie zatrzymać się w grze, popełniając wpięć parę błędów. Wtedy miał dwa wyjścia: albo zaczynać od ostatniej zapamiętanej frazy, albo (co było najgorsze) zupełnie od początku. Najgorsze w tym wszystkim było poczucie wstydu przed publicznością i ponownym, tak fatalnym w skutkach błędem. Na scenie nic Ci zrobić nie mogli, ale w ich głowach kłębiły się rozmaite myśli, których wykonawca wolałby raczej nie znać.

Jednak w tym popisie wszystko szło dobrze. Marek brnął jak automat przez kolejne takty utworu nasilając dynamikę. Powoli zbliżał się ku upragnionemu końcowi, co powoli go uspokajało i rozluźniało. Dlaczego nie czuł się tak swobodnie na początku? Może jest za mało oswojony ze sceną? W przeciągłym zwolnieniu brzmiały coraz to głośniejsze ostatnie nuty i całe dzieło zakończone zostało rozwlekłym akordem, który zabrzmiał na całej sali jak potężny grzmot. Młody pianista trzymał wciąż swe dłonie na klawiszach wieńczących ten prosty utwór. Akord cichnąc powoli rozbrzmiewa do końca. „To już koniec”. - pomyślał z ulgą Marek, kładąc swoje zmęczone dłonie na kolana. Wstał, postąpił parę kroków naprzód w stronę publiczności i pokłonił się. Po całej sali rozległy się brawa. Młody pianista skierował się prędko w stronę drzwi, zaś potężna hala znów napełniła się próżnią muzyczną, tylko gdzieś, niby w oddali, trwał duch wykonanego przed chwilą dzieła, więc również duch samego jej kompozytora. Szedł ku wyjściu dostojnie, lecz równocześnie wartkim, niezbyt

wolnym krokiem. Zbyt długi pobyt tutaj po wykonaniu swojej roboty może niepotrzebnie zwrócić uwagę publiczności.

Kiedy tylko czmychnął ze sceny najdostojniej jak tylko potrafił i przekroczył próg tego miejsca, zaczerpnął przesiąkniętego fabrycznym zapachem garniturów i perfum powietrza i wyraźnie odetchnął z ulgą. Zaraz przystąpił do niego nauczyciel:

- Świetnie zagrałeś Marku. Zabrakło mi tylko gdzieś tam w drugiej części wyciszenia. Znaczą się, ono było, ale musi być jeszcze silniejsze. Gdzieś tam jeszcze urwałeś *legato*...

- Ach tak, to była omyłka w palcowaniu.

- No, to już nieważne... Resztę omówimy na lekcji. Możesz już odsapnąć na widowni.

Marek właśnie skierował się w tamtą stronę, kiedy z boku pochwycił go ktoś za ramię.

- No, w końcu skończyłeś! - zawołał jasny blondyn o twarzy dobrodusznego zawadiaki - chodź na widownię.

- Paweł, jak było? - zapytał niepewnym głosem Marek.

- Świetnie, stary! - odparł blondyn - Jesteś normalnie mistrzem, naprawdę super!

Młody pianista wiedział, że jego kolega Paweł jest od niego o niebo lepszy, więc jego słowa dodały mu nieco otuchy i uśmiechnął się.

- A daj spokój, stary, przecież lepiej zagrałeś.

- No co Ty, u mnie to tam pomyłek co niemiara, a u Ciebie Francja elegancja.

Znaleźli się za drzwiami i ukazało im się bezkresne morze czerwonych krzeseł, ustawionych jak potężna fala, która zaraz ma runąć na całą scenę, fortepian i następnego grającego. Na niej znajdowali się ludzie, którzy siedzieli wygodnie w fotelach i klaskali następnemu wykonawcy. Paweł i Marek znaleźli na samym szczycie wolne miejsca, w rzędzie, który był niemalże pusty i spowity subtelnym mrokiem, gdyż tutaj nie docierały resztki światła z oświetlających scenę reflektorów. Obaj przysłuchiwali się wykonaniu następnego pianisty. Był młodszy od nich i wykonywał sonatinę, którą gra każdy świeży grajek na początku swego pobytu w tej szkole. Marek doskonale pamiętał ten utwór, uczył się go dwa lata temu. Rozpoczął się koncert. Dźwięki popłynęły spod otwartej kłapy nieskazitelnie czarnego fortepianu. Muzyki nie dało się nie czuć w powietrzu. Ona była wszędzie. Ta dźwiękowa fala ogarnęła tę o wiele potężniejszą czerwoną falę publiczności, która otaczała czarny fortepian, a swym ogromem przygniotłaby go do białej ściany, zrywając przy tym czerwone kurtyny. Lecz ta olbrzymia fala jakby wstrzymała się, każdy z publiczności słuchał z ciekawością. Nie można było odczuć w powietrzu żadnej myśli, trwała w nim tylko muzyka. Nagle zgrzytnął drobny dysonans, który wychwycił Marek. Nie dało się go nie zauważyć. Jednak mimo tego grający pianista wciąż był uśmiechnięty, a muzyka nadal kołysała rozkołatanego ducha i przenosiła do innych, pełnych zieloności, bajkowych światów. Któż więc jest tu władcą i panem? Ten, który gra, czy ten, który słucha?

- Dobry jest, co nie? - odezwał się zamyślony Paweł. Siedział w sposób bardzo luźny, założył nogę na kolano, łokcie położył na oparciach, a ręce złożył tak jak to zwykle robi człowiek lekko zadumany. Całym sobą kontemplował muzykę.

- Tak, mimo drobnej pomyłki jest naprawdę świetny. Ma talent.

- Tak, potrafi unieść muzykę. Widzisz, moim zdaniem, w tym wszystkim liczy się pasja i miłość do gry na fortepianie.

- Ale trzeba pamiętać o zasadach i w miarę możliwości bezbłędnym wykonaniu.

- Masz rację, bez dobrej znajomości utworu nie można go przekazać. Jednak jeśli nie włożysz w to własnego ducha, solidnej pracy, a przede wszystkim jeśli nie będziesz czuł utworu i nim żył, to nie zachwycisz publiki. Twoje wykonanie będzie mechaniczne, będzie zwykłym odegraniem jak ze starej płyty CD, a w ten sposób nie zarazisz ich swoim uczuciem i klimatem utworu.

Marek siedział lekko zszokowany. To było dla niego nowym odkryciem. Wiedział, że grając trzeba dawać wszystko z siebie, jednak nie przedkładał swojej pasji i miłości

nad dokładne, bezbłędne wykonanie. „Może jestem zbyt skrupulatny, zamiast po prostu czuć? Może nie jest to miejsce dla mnie?” - pomyślał z trwogą.

W tej chwili zamyślenia poczuł na swoim lewym ramieniu delikatny, ciepły dotyk dłoni. Marek był pewny, że to była kobieta. Odkręcił głowę w lewą stronę i zobaczył kobietę w średnim wieku o jasnych blond włosach.

- Chciałam tylko panu powiedzieć, że bardzo pięknie pan dzisiaj zagrał. - powiedziała z uśmiechem.

- Bardzo dziękuję. - odparł jakby automatycznie Marek. Również lekko się uśmiechnął. Jednak tak naprawdę w swym sercu krył zaskoczenie, które o mało nie urzeczywistniło się na jego twarzy. Zdziwienie wypełzło dopiero wtedy, gdy dama z widowni zmierzała w stronę swojego miejsca. „Może nie jestem jeszcze takim skończonym, muzycznym skrupulantem?” - zastanawiał się głęboko w swoich myślach. Tak naprawdę, dopiero pierwszy raz doświadczył krytyki z zupełnie obcej ręki. Owszem, jego styl gry pochwalali rodzice, czasem też profesor fortepianu, ale nie przyjmował tego zbyt serio. Może całkiem niesłusznie? Wiedział, że rodzice go nie okłamywali i ufał ich opiniom, jednak ocena zupełnie obcej osoby była nie tyle bardziej wiarygodna, co bardziej motywująca. Dla takiej osoby liczy się fakt, niezmienny według niej, nawet przed obliczem artysty, którego widzi pierwszy, a może i nawet ostatni raz w życiu. Prawda w krytyce, jakkolwiek by nie była, zadowolająca czy przykra - motywuje do dalszej pracy. Fałsz zaś jakkolwiek by nie był, słodzący lub gardzący, zawsze zaślepia człowiekowi oczy. Któż więc jest tu władcą i panem? Ten, który gra, czy ten, który słucha?

„Może rzeczywiście jestem dobry i mam dar? Zawsze myślałem, że jestem przeciętnym, takim tam grajkiem. Chciałem osiągnąć idealne wykonanie utworu, a przecież pomyłka jest ludzką rzeczą. Chyba raczej ważniejsze w graniu jest uczucie, niż skrupulatność wykonania... Choć tak naprawdę jedno bez drugiego obyć się nie może... W dodatku ona była z publiczności, ja się więc pytam: Gdzie to okrucieństwo widowni? Chociaż prawdę mówiąc, nie znam opinii reszty słuchaczy. Przecież bili mi brawa, czy to nie jest ich wystarczającym pozytywnym świadectwem?...” Kiedy na scenę wchodził następny wykonawca, Marek popadał w coraz to większą zadumę. Nie zauważył nawet, że razem z wygodnie siedzącym tłumem bił dwa razy brawa. „Oklaski są dobrym znakiem zadowolenia, lecz czy nie są często tylko pustym frazesem? Skoro więc nie wyrażają zadowolenia, to może są wyrazem szacunku?”.

Koncert zakończył się po niedługim czasie. Publiczność zaczęła powoli wstawać ze swoich obitych czerwienią tronów. Marek z Pawłem powoli opuszczali salę, rozmawiając co nieco o szkole, nauczycielach, muzyce i również grach komputerowych. Jednak Marek nie był zbyt zajęty tą rozmową, myślał wciąż o swoim występie. „Nawet jeśli wszyscy byli z mojego wykonania niezadowoleni, to mimo tego wiem, że przynajmniej jednej osobie się podobało... i z tego się cieszę”.

Powoli wśród gęstego tłumu w ciasnym dość korytarzu brnęli dwaj koledzy. Paweł opowiadając o swojej nowej gierce zauważył kątem oka zamyślenie Marka.

- Hej, gdzie ty tam bujasz w obłokach?

- A nic takiego, myślę o występie...

- Nie ma co myśleć. - powiedział krótko Paweł - Przecież było świetnie, słyszałem! A nawet jeśli pojawił się jakiś tam błąd, to czasu i tak nie cofniesz. Zresztą wszystko wyjdzie na najbliższej lekcji.

- Masz rację... - odparł Marek - a ta gra, to duże ma wymagania?

- A wiesz, jak na mojego złoma, to działa całkiem dobrze.

Mimo iż minęło już trochę czasu po popisie, w Marku zrodziło się pytanie, które koniecznie musiał zadać swemu nauczycielowi.

- Wiesz może, czy jest jeszcze w szkole pan Kleszczyński?

- A skąd ja mam to wiedzieć? Wydaje mi się, że pewnie w pokoju nauczycielskim... Tak, chyba go nawet widziałem, jak tam szedł.

Marek odwrócił się i zauważył, że musi przedrzeć się przez falę spieszących ludzi. Westchnął, lecz po chwili odpowiedział serdecznie:

- Dzięki Paweł. Mam jedną sprawę do profesora. Jak coś, to zaraz widzimy się na dole.

- Ok. To na razie. - odparł krótko Paweł.

Marek szybkim krokiem zbliżał się do drzwi pokoju nauczycielskiego, które były na samym końcu długiego korytarza. Jego czarne pantofle stuknęły o świeże panele podłogowe. Drewniane drzwi otworzyły się i Marek zauważył sylwetki dwóch rozmawiających ze sobą mężczyzn. Jednym z nich był właśnie pan Kleszczyński. Nauczyciele śmiejąc się, szczerze uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się. Pan Kleszczyński krocząc ze swoją torbą obitą w czarną skórę zauważył swego podopiecznego i zawołał wesołym głosem:

- Ach to Ty Marku! Co cię do mnie sprowadza?

Profesor był niezwykle szczęśliwy z udanego koncertu. Wszyscy uczniowie spisali się doskonale, zaś on z zadowoleniem słuchał efektów wspólnej pracy z uczniami.

- Proszę pana, bo ja mam takie jedno pytanie...

- Słucham.

- Wcześniej, przed moim występem powiedział pan, że jeżeli myliłem się przy graniu rano, to na występie zagram bardzo dobrze. Owszem, dzisiaj zagrałem z paroma tam błędami, ale było lepiej niż rano. - po czym dodał - dlaczego tak jest? Przecież to kłóci się z logiką...

- Myślę Marku, że to nie kłóci się z logiką. Dlaczego tak się dzieje? Któż to może wiedzieć? Po prostu tak jest... Raz zagrasz bardzo dobrze, raz trochę gorzej. Za to wiem, że tak jest, bo wiem to z doświadczenia. - po czym po krótkiej przerwie dodał - Cóż, niektórych zasad nie da się wytłumaczyć.

Marek widząc, że w tej kwestii niczego więcej się od mistrza nie dowie, podziękował mu, po czym zbiegł do szatni.

Pan Kleszczyński był powszechnie znany jako człowiek niezwykle uważny i spostrzegawczy, jednak dziś nie zastanawiał się zbyt nad dość dziwnym pytaniem swego ucznia. W myślach stwierdził, że nauczyciel powinien prowadzić swych uczniów najlepiej jak potrafi.

Marek szybko zbiegł po schodach, na dole już powoli ubierał się Paweł.

- No, w końcu jesteś! - zawołał kolega Marka, zakładając swoją kurtkę.

Marek podał swój stalowy numerki portierce, która uśmiechnięta udała się po kurtkę ucznia. Młody pianista westchnął.

- Co tak wzdychasz? Wrażenie Ci brakuje po występie?

- Nie, nie o to chodzi. Jutro znowu trzeba iść do szkoły, i oczywiście trzeba się przygotować. W taki oto sposób będę musiał porzucić wszelkie wrażenia na rzecz lekcji. A tak bardzo chciałbym trochę nimi pożyć, pooddychać tym klimatem.

Mimo iż chodzili do zupełnie innych szkół, obaj doskonale wiedzieli, co to znaczy i nie musieli sobie tego tłumaczyć. Każdy z nich chciałby odpocząć po tych chwilach pełnych stresu i nacieszyć się satysfakcją udanego koncertu. Zapomnieć o szkole, wszystkich innych powinnościach i zejść zwycięsko z osiągniętego szczytu tego doniosłego zdarzenia, pełnego wrażeń. Jednak niestety następnego dnia powraca monotonia życia i trzeba będzie szybko i bez precedensu zjechać z tej góry prostą, szarą, trzaskającą prozaicznością windą. Po chwili milczenia odezwał się przepełniony ulgą głos Pawła:

- Jednak, dzięki Bogu, jutro już piątek.

- Tak... Już w końcu weekend.

Chłopcy roześmiali się i pośpiesznie ruszyli w stronę wyjścia, aby opuścić mury tej zawsze ożywionej muzyką szkoły.

18. 09. 2013 r.

Autor jest tegorocznym absolwentem LWJ z klasy IIIa.

Modlitwa

Daj mały zakątek nieba, trochę ziemi, wody i chleba,
Daj każdemu, o Chryste, czego najbardziej mu brak,
Daj Boże rozum każdemu, by zdołał pojąć ten świat,
Daj radość z życia nam, daj i szczęście niech będzie wśród nas.

Daj mały zakątek nieba, gdzie powracać każdy by miał,
Daj Boże niebo i drzewa, by niebiesko-zielony był świat,
Daj, czego każdemu trzeba i zbaw Boże ten świat,
Daj kwiat wśród cierni powodzi i szczęście nam Boże daj.

Daj Boże słońce, co z nieba piękniejszym czyni ten świat,
Mały okruszek chleba, spragnionym wodę daj,
Daj nam nowy początek, daruj nam życie i śmierć,
Przenieś nas w niebieski zakątek i miej w opiece nas swej.

Pokaż nam drogę, do raju ścieżkę, po której iść lżej,
Ty znasz tyle dróg, ludzi, krain, lecz gdzie jest tak pięknie, gdzie?
Gdzie są tak piękne drzewa, gdzie wiosna raduje się?
Daj tylko kawałek chleba i miej w opiece nas swej.

Daj Boże każdemu rozum, by łatwiej było zrozumieć Cię
Ja wiem, Ty tyle masz spraw, lecz nie, nie opuszczaj nas!

Autor jest uczniem klasy IIA LWJ. Wiersz został wyróżniony III nagrodą w konkursie poetyckim „Życie wierszem pisane w uczniowskich zeszytach”, zorganizowanym w roku szk. 2013-2014 przez Zespół Szkół im. Marii Skłodowskiej-Curie w Płocku.

Wiersze z tomu „Anka”

Brzoza

Przeciw smutkom cóż pocznę,
o! brzozo!
Usnę, ale się ocknę,
coś się we mnie rozpęta,
by pamiętać, pamiętać,
o! brzozo!

Córko moja nieżywa,
o! brzozo!
pieśni nić niegodziwa
chce mnie spętać trumiennie
i - zatruta - być we mnie,
o ! brzozo!

Jakże rozpacz wyrazić, gdy żyję,
o! brzozo!
kiedy słowa nijakie, niczyje,
a ja powiem rozpaczą
słowom, że nic nie znaczą,
o! brzozo!

Firanka

Otworzyłem okno, a firanka
pofrunęła ku mnie,
jak Anka
w trumnie.

Biała firanka, błękitne zasłony,
zaszeleściło...
O! pokaż mi się od tamtej strony!
Jesteś? Jak miło!....

Jak miło... jak miło... jak strasznie,
moja miła...
Ja już chyba nie zasnę...
Firanka? ... Czy tyś tu była?

Lament

„Ankę to ja bym do Wisły!...”
„Co robisz, tato?!”
„Bez litości i bez namysłu
za to,

że ty mi każesz
kochać więcej niż w sercu miejsca,
że mi (już dzisiaj) pokażesz
bukiecik fiołków w Bejscach,

a tam kasztany, kasztany
- pstryk! Tadius -
że tata zakochany,
a łeb w nieładzie,

że myśli takie wielkie,
a środki...
że do wiślickiej bazyliki
szliśmy po schodkach,

tam dwunawowy tum
Kazimierza,
że historii szum
trwożnie serce odmierza,

żeś ty już w dzieje wpleciona,
jak ornament,
że w ustach kona
lament,

że tak mi ciężko, ach! ciężko
myśleć i wymyślić
poemat, czyli: zwycięstwo!
o Wiśle.”

„Utop mnie, tato, ja i tak nie żyję...”
„A łzy?”
„Niech będą niczyje,
niech kwitną bzy...”

Władysław Broniewski był uczniem Jagiellonki. Nie ukończył szkoły, jako 17-latek w 1915 roku wraz z innymi uczniami wstąpił do Legionów Piłsudskiego. Uczestnik I i II wojny światowej, wojny polsko-bolszewickiej, żołnierz Armii Andersa, poeta.

„Lament” Władysława Broniewskiego (esej interpretacyjny)

„Gdybym mógł, powiedziałbym Ance,/ po całym życiu zawilem-/ mojej jedynej kochance:/ żyłem...” - pisał Broniewski po stracie córki - największej miłości swojego życia, „kto wie czy - jak stwierdza Lesław M. Bartelski - nie tej jedynej prawdziwej miłości...” Kolejne kobiety poety musiały się już pogodzić z niemalże parenetycznym obrazem Anki, jaki ten starał się w swoich utworach wykreować, a może raczej tylko przybliżyć i odtworzyć... Zauważmy - śmierć dwudziestotrzyletniej Joanny stała się dla Broniewskiego ciężarem nie do zniesienia; jarzmem przysparzającym rozlicznych zmartwień, jakie w konsekwencji pogłębiły tylko stan uzależnienia alkoholowego poety oraz zrodziły u niego poczucie apatii, wyalienowania i beznadziei.

1 września 1956 r. znaleziono ją martwą, leżącą w poprzek tapczanu w skromnym mieszkaniu na warszawskim MDM-ie, w którym prawdopodobnie ulatniał się gaz. Na kuchence wykipiiała kawa, zalewając płomień palnika, jednakże czy rzeczywiście był to jedynie rezultat przypadku, czy też akt samobójczy, a może raczej wynik ingerencji osób trzecich? Sekcja zwłok nie została przeprowadzona, toteż nie sposób - ale też i nie czas - zastanawiać się nad hipotetycznymi przyczynami śmierci Anki. Bez wątplenia jednak przerwała ona wspólną pracę ojca i córki nad filmem i poematem „Wisła”, zatem w niwecz obróciła się historiozoficzna koncepcja całego przedsięwzięcia wraz z jej optymistyczną wymową, degradacji uległa naczelną motywacja twórcza, czyli możliwość wspólnego zamknięcia polskiej przestrzeni i rodzimej tradycji w dziele poetyckim i filmowym zarazem. Musiało minąć pół roku, by zaistniał odzew na osobistą tragedię, a mianowicie nastąpił gwałtowny liryczny upust rozpaczy zawarty w kojarzonym często z „Trenami” Kochanowskiego tomiku „Anka”. Przypisano mu wartość wcale niemałą, skoro Jarosław Iwaszkiewicz napisał: „Literatura polska wierszom poświęconym stracie ukochanej istoty nie byle jakie stawia parantele. Otóż wydaje mi się, że wiersze Broniewskiego - tak bolesne i wichrem targane - te parantele wytrzymują”.

Spośród piętnastu utworów składających się na swoisty cykl trenów miejsce szczególne zajmują powstałe w przypiływie szału twórczego poety, a więc 12 lutego, wiersze: „Brzoza”, „Firanka” oraz „Lament”. Miejsce szczególne, bowiem Broniewski nadał im wyraźnie „lamentacyjną” formę wyrazu przejawiającą się konstrukcjami paralelnymi, ale przede wszystkim eksklamacyjną postacią wypowiedzeń, często niepełnych, urwanych w pół zdania. Samo zaś wspomniane tu słowo „lament” *Słownik języka polskiego* definiuje jako: „Okrzyki wyrażające żal, rozpacz, cierpienie, często połączone z głośnym płaczem, także skarga, narzekanie wyrażone w innej formie (...)”. *Słownik terminów literackich* zwraca z kolei uwagę na ludowość tego gatunku, obecnego przecież w literaturze staropolskiej i na jego związek z przynależnymi do liryki elitarniej: elegią i trenem.

Utwór o tytule zbieżnym z charakteryzowanym powyżej terminem - jak zauważa Tadeusz Bujnicki w „Wierszach Władysława Broniewskiego” - wykazuje pewną autonomiczność, a to zarówno ze względu na innowacyjną strukturę dialogu, ale też - jeśli uważniej przyjrzyć się genezie - dlatego, że pierwowzór „Lamentu” miał zostać wykorzystany przy realizacji filmu „Brzegiem Wisły”. Wspomniany dialog zsyntezowany z budową wersyfikacyjną cechuje niebywała precyzja, a całość kompozycyjną tworzą trzy następujące po sobie repliki, jakie prowadzą: podmiot liryczny utożsamiany zwykle z samym Broniewskim oraz adresatka wypowiedzi, czyli jego tragicznie zmarła córka. Należąca do poety obszerna część środkowa przeobraża się w łudząco przypominający „migawkowe wspomnienia” monolog. Pozostałe dwie repliki - krótkie, zwarte, ale silnie nacechowane emocjonalnie („Ankę to ja bym do Wisły!.../ Co robisz, tato?!”) kształtują sytuację liryczną, a więc - poza relacją dwóch partnerów - również tło i gest. Osoby mówiące ujawniają się dosyć nietypowo, bo poprzez odpowiednio użyte formy zaimków oraz związki wyrazowe, takie jak: „mi każesz”; „utop mnie”.

Liryk otwiera swego rodzaju rytuał przywodzący na myśl prastłowiański obrzęd topienia marzanny. Tak czyniono niegdyś wiosną, a - zauważmy - porą roku przedstawioną w „Lamencie” jest właśnie wiosna, o czym wnioskujemy po „bukieciku fiołków”, kasztanach i kwitnących bzach. Przywołany motyw - z pewnością też nieprzypadkowy, bowiem niejednokrotnie już wykorzystywany przez Broniewskiego - w zestawieniu z poematem „Wisła” zmienia swój sens z symbolicznego na rzeczywisty, bo przecież połączony z konwencją śmierci. Rozpoczynająca monolog zrozpaczonego ojca hiperbola: „że ty mi każesz/ kochać więcej niż w sercu miejsca” oddaje wielkość uczuć względem córki, dla której nigdy dość jego uwagi i poświęcenia. Kolejne wypowiedzenia - wielokrotnie złożone podrzędnie - stanowią ciąg luźno powiązanych ze sobą skojarzeń, które niczym szybkie ujęcia filmowe odtwarzają chwile wspólnie spędzone przy pracy nad dokumentem o Wiśle (stąd Bejsce, bazylika w Wiślicy). Technikę asocjacji obrazowych na chwilę przerywa wtrącenie: „- pstryk Tadziu -” skierowane zapewne do nieuważnego operatora filmowego, z jakim przyszło współpracować Broniewskiemu i jego córce. Intrygująca pozostaje tu kwestia: „że tata zakochany,/ a łeb w nieładzie,/ że myśli takie wielkie/ a środkiki...” O jakim zakochaniu i o jakich myślach tu mowa? Czy poeta celowo nawiązuje do jedynej trwałej, wciąż obecnej miłości - miłości do córki - czy też ma na myśli zupełnie coś innego?

Rozważania te prowadzą do następującej konkluzji, ujętej stylistycznie w metaforyczną formułę: „żeś ty już w dzieje wpleciona/ jak ornament,/ że w ustach kona/ lament” i dalej „że tak mi ciężko, ach! ciężko myśleć i wymyślić poemat”. Przytoczony fragment, podobnie jak „Tren VIII” Kochanowskiego („Teraz wszystko umilkło, szczerze/ pustki w domu...”), kontrastuje z beztroską i sielankową aurą poprzednich obrazów, a wspomnianie zmienia się w rozpacz.

Znaczącym zagadnieniem całego cyklu staje się też forma kreacji czasoprzestrzeni. Krajobraz nadwiślański wtóruje motywom przedstawionym uprzednio w poemacie „Wisła” i odsyła do pozostałych liryków tomiku „Anka”, m.in. do „Filmu o Wiśle”, ale też - chociażby w mniejszym stopniu - do „Trumny jesionowej”. Przedstawiony pejzaż to swego

rodzaju „mała ojczyzna”, którą osiąść na własność zdołali ojciec i córka. „Tak rzekę braliśmy na własność, / i piękne były nasze dobra,/ jak światło, które ma nie zgasnąć,/ jak żywy i wieczysty obraz...” - pisał Broniewski w „Filmie o Wiśle”. Czasoprzestrzeń spełnia jeszcze jedną niezwykle istotną funkcję, a mianowicie w zakres czasu i zakres przestrzeni włączone zostaje wspomnienie o zmarłej córce („żeś ty już w dzieje wpleciona/ jak ornament”), która staje się integralną częścią uhistorycznionego krajobrazu Wisły.

Przywołany na nowo rytuał zatopienia stwarza możliwość jego ponownej interpretacji, bowiem w pewnym sensie dokonuje się symboliczne „zatopienie” Anki w realiach poetyckiej rzeczywistości. Wciąż obecne tu napięcie ulega częściowo rozładowaniu, lecz ostatnie wersy przynoszą uczucie zubożenia i rozpacz, jakie wyraża się odpowiedzią na pytanie retoryczne podmiotu: „A łzy?/ Niech będą niczyje, niech kwitną bzy...” Na tym polega właśnie zasadnicza różnica między „Trenami” Kochanowskiego a liryką funeralną współczesnego poety. Renesansowy humanista - po okresie zwątpienia i kryzysu światopoglądowego - przyjmuje ostatecznie religijne consolatium („Tren XIX albo Sen”), które zdoła ocalić go przed rozpaczą. Broniewski zaś nie tylko nie znajduje pocieszenia, ale też odrzuca wiarę w istnienie Boga i pośmiertnej rzeczywistości. Przekonujemy się o tym w rozpoznawanym po incipicie wierszu: „Anka, to już trzy i pół roku”, w którym podmiot liryczny stwierdza: „nie widzę cię w żadnym niebie/ i nie chcę takich nieb!”. W „Trumnie jesionowej” zaś przeczytamy: „Nie wierzę w elizejskie cienie,/ lecz w gorzkie łzy człowiecze”. Owe łzy w poezji Broniewskiego urastają do rangi wspólnoty człowieczych przeżyć, które czynią emocję wartością uniwersalną, zatem śmierć jednostki nie wiąże się z końcem jej egzystencji, lecz z przeniesieniem w świat subiektywnych wrażeń, które mogą ocalić od zapomnienia.

Z pewnością od zapomnienia Joannę Kozicką-Broniewską ocalił cykl „Anka”, jednakże - jak twierdzi córka tragicznie zmarłej a wnuczka Broniewskiego - Ewa Zawistowska: „Anka, niby motyl przekłuty szpilką, tkwi do dziś w ludzkiej pamięci jako eksponat z zakurzonej gablotki komunizmu (...) i kojarzy się niemal wyłącznie z literacką postacią trenów Broniewskiego...”. Niemniej jednak uwieczniona między wersami utworów ojca-poety stwarza nowego Broniewskiego - grzęznącego w przeszłości, trwoniącego teraźniejszość, niedbającego o przyszłość - który z czasem sam staje się integralną częścią całego cyklu, bo przecież utożsamia się z podmiotem lirycznym i prezentowanym w utworach światopoglądem. Można odnieść wrażenie, iż całość składa się na - jak twierdzi Ryszard Matuszewski - „niczego nieprzemilczający pamiętnik własnego życia”, a więc niezwykle szczerzy i osobisty liryczny notatnik subiektywnie interpretowanych zdarzeń z przeszłości. Takim „pamiętnikiem” równie dobrze może być sam tylko „Lament”, zawierający wszakże wszystkie krążące wokół cyklu założenia, ale przy tym: „są one tak spontaniczne, tak goryczą i bólem do samego końca nabrzmiałe (...), od początku do końca przeniknięte wichrem rozpacz...” , że nie sposób zarzucić poecie chociażby w najmniejszym stopniu sztampowości i braku inwencji twórczej.

Autorka jest uczennicą klasy IA LWJ. Praca zdobyła w bieżącym roku szkolnym I nagrodę w konkursie „Mnie ta ziemia od innych droższa” w kategorii „esej interpretacyjny”.

KRÓL DO WZIĘCIA

– Co z Elą? – Władysław Jagiełło był bez reszty pochłonięty grą w kółko i krzyżyk z samym sobą, jednak na widok medyka oderwał się od zabawy i wykazał żywe zainteresowanie stanem zdrowia swojej trzeciej żony.

– Nie żyje – odrzekł medyk, wzruszając ramionami.

– Nic nie dało się zrobić? – zapytał Jagiełło, pohamowując silne wzruszenie, które napływało mu do oczu, do krtani, do żołądka i powodowało dreszcze na czubku jego łysej czaszki.

– Owszem, dałoby się – powiedział medyk, drapiąc się za uchem, jak zwykle robią to ludzie, którzy czują się niezręcznie wobec swojego rozmówcy.

Jagiełło był tak zajęty powstrzymywaniem wzruszenia, że nic mu nie odpowiedział, tylko spojrzął na niego pytająco.

– Chcesz wiedzieć, co jeszcze można by zrobić?

– No raczej!...

– Więc...

– Nie zaczynamy zdania od „więc” – na tyle spokojnie i majestatycznie, na ile było go stać, pouczył swego nadwornego medyka Jagiełło. Trzeba wam bowiem wiedzieć, iż naruszanie tej świętej zasady języka polskiego w sposób szczególny drażni ludzi wielkiego formatu – królów, książąt, biskupów, ambasadorów, nauczycieli historii...

– Więc... – medyk znowu zaczął po swojemu, jednak zreflektował się, słysząc nerwowe pochrząkiwanie Jagiełły, przywracające go do porządku. – Po prostu należało zaaplikować penicylinę...

– Nie istnieje...

– Proszę?

– Nie istnieje.

– Penicylina?

– Też...

– Owszem, profesor Flemming wynajdzie ją przeszło pięćset lat po śmiertelnym zejściu Waszej Królewskiej Mości, zupełnym przypadkiem zresztą...

– Nie mówię teraz o penicylinie...

– A o czym?

– Kultury trochę! – zaapelował Jagiełło, gdyż humanistyczna ciemnota panująca w umyśle medyka poczęła mu już trochę doskwierać. – To język polski, głupcze! Od trzydziestu czterech lat uczymy was, że „po prostu” po prostu nie istnieje – pośpieszył wyjaśnić, widząc, że rzucane wcześniej przez niego slogany zupełnie nie przemawiają do wyobraźni młodego, roztrzępanego medyka. A mówią, że licea w Polsce są ogólnokształcące...

– Przepraszam...

– Naprawdę nie musisz nas przeproszać. Chyba, że za przedwczesną śmierć żony, której nie zapobiegłeś. No, w sumie nie taką przedwczesną, ale zawsze... A teraz odejdźcie. Chcę w spokoju popłakiwać moją Elżunię.

Nie zaczyna się zdania od „no”, łysa pało – pomyślał medyk, w którego myślach urażona ambicja wzięła górę nad szacunkiem dla majestatu.

Gdy wreszcie gość opuścił komnatę, Jagiełło istotnie rozplakał się rzewnie, ale szybko się uspokoił, gdyż – jak kiedyś ktoś tam napisał – po śmierci każdej ze swych żon był głęboko, ale krótko zasmucony.

Kiedy wzruszenie opuściło królewskie ciało, a umysł przestał przejmować się takimi błahostkami jak językowa ignorancja niektórych medyków albo śmierć żon niektórych mężów, Jagiełło powrócił do zabawy w kółko i krzyżyk.

Tylko ciche „O, Ela, straciłaś przyjaciela...” sączące się z królewskich ust przypominało, że dwór krakowski pogrzyżył się w bólu po stracie swojej królowej.

Beztroski czas intelektualnej rozrywki niespodziewanie przerwało pojawienie się ochmistrza.

– Dlaczego ośmielasz się nam przerywać, ty gagatku? – syknął król. – Nie widzisz, że oplakujemy małżonkę?

– Właśnie widzę – wyznał ochmistrz, patrząc jak kółko tryumfuje właśnie nad krzyżykiem, a uśmiech spełnienia ogarnia twarz szczęśliwego zwycięzcy i przegranego w jednej osobie. – Przyszedł Jego Ekscelencja Oleśnicki.

– To niech wyjdzie.

– Jakże to tak?

– Ano tą samą drogą, którą raczył był wejść.

– Oleśnicki?

– Racja. Nie dalej jak po urodzinach mych synów ponoć upokorzy mnie tak, że się publicznie rozplacę. Zresztą to przyszyły kardynał. A z Kościołem nikt nie powinien zadzierać.

– Zwłaszcza neofita...

– Proszę?

– Wedle życzenia, już proszę Ekscelencję...

– Ekscelencję, hę? A, niech wchodzi, skoro musi...

W istocie ochmistrz wyszedł, a dumnym krokiem wszedł Jego Ekscelencja Oleśnicki.

– Najszczęśliwsze kondolencje – rzucił od progu. – Śmierć Królowej napelniła cały dwór szczerem, a nieposkromionym bólem...

– Nie wątpię. Co to za muzyka?

Oleśnicki wyrżał przez okno.

– Jedzą, piją, lulki palą, tańce, hulanki, swawole – wyliczał jednym tchem.

– W taki dzień! A cóż to za ważny powód, żeby naruszać święty czas żałoby?

Oleśnicki milczał.

– Ekscelencjo! Mówcie!

Biskup zamilkł jeszcze bardziej.

– Towarzyszu drogi, zlitujcie się, mówcie!

– Tylko nie towarzyszu, tylko nie towarzyszu, tylko nie towarzyszu!

– Mów!!!!!!!!!!!!

– Z powodu śmierci Najjaśniejszej Pani się bawią...

– Koniokrady zapowietrzone, daj im Litwę...

– No, niezupełnie taka ona nasza!

– ... daj im Grunwald ...

– Ot, i tyle z tej wielkiej wojny, że Litwa odzyskała Żmudź, a Polska wroga...

– Ekscelencjo! To obraza majestatu!

– Żadna obraza, żadna obraza... To fakty, z którymi jako dżentelmeni nie powinniśmy dyskutować.

– Dowody.

– To wiedza na poziomie Wikipedii. Sprawdźcie królu sami.

– Ale takim złym królem to chyba nie jesteśmy...

– Bynajmniej. Historycy dadzą królowi referencje. Naprawdę, dadzą królowi referencje...

– Ot taki kogel-mogel z tej rozmowy i nic więcej...

– Szkoły będą imieniem Waszej Królewskiej Mości nazywać...

– Byle jakich to ja nie chcę.

– Porządne, porządne. Najlepsze w stołecznym, książęcym Płocku.

– Najlepsze? – odezwał się król nie bez nuty ironii w głosie. – Miej ranking i patrzaj w ranking.

– Ranking jest ślepy, widzi się tylko sercem.

– Romantyk *Dei Gratia*...

(Tłumaczymy! *Dei Gratia* – z łaski Bożej)

– Nie ja słucham słowików po nocy w ciemnym lesie.
– Cicho być! Nie czas na takie dysputy – król umiejętnie skończył drażliwy temat. – Dziś przyszło mi pochować żonę...

– Bo to pierwszy raz...

– Ekscelencji to łatwo przychodzi tak beztrzesko mówić, bo sam nigdy nie miał żony, która umarła.

– Żyjącej też nie mam. Z racji wdowieństwa, które po raz trzeci spadło na barki Waszej Królewskiej Mości, jest Wasza Królewska Mość stanu wolnego...

– Wiemy to i bez waszej katechezy.

– Oj, król się zaraz oburza, a ja chcę pokazać, że ja króla rozumiem: jak singiel singla...

– Nie lubię słowa „singiel”... – odrzekł Jagiełło niepewnie, gdyż w głowie zaświtała mu pewna myśl. – Uważam je za zbyt wyszukane, jak na swoją miarę... Wolę swojskie „kawaler”... Kawaler do wzięcia... – dodał, nerwowo pocierając prawą dłońią o czubek swojej łysej czaszki i zakłopotany spojrzął w sufit.

Ludziom w jego wieku nie wypadało, przynajmniej jak uważał aż do dzisiaj, mówić głośno takich rzeczy. Ale cóż mógł zrobić? Trzy żony w grobie – cóż, że w tym jedna przyszła święta, ale już w grobie, a syna, dziedzica świetnej dynastii, która zakiełkowała dzięki niemu na pradawnym wzgórzu wawelskim, jak nie było, tak nie ma.

Oleśnicki nie był telepatą, ale łatwo przyszło mu odgadnąć królewskie myśli.

– Dzieci się same nie robią.

– Ba!

– Trzeba się ożenić, mości królu.

– Ba!

– I to prędko. Latka lecą...

– Ba! O dziecku w tym wieku myśleć to zbrodnia prawie...

– Oglądał król filmy z Chaplinem.

– Nie.

– Ja też nie, bo jeszcze nie powstały. Ale człek ten mógł się doczekać córki w wieku siedemdziesięciu trzech lat, to i królowi przystoi o tym myśleć.

– W podręcznikach odmłodzili mnie nawet o dziesięć lat...

– Ano właśnie! Do roboty!

– A któż mnie zechce? Starego...

– Lecz z koroną!

– Niezbyt urodziwego...

– Lecz z koroną!

– Trzykrotnego wdowca. To źle wróży...

– Lecz z koroną!

– Myślicie Ekscelencjo, że mnie zechcą.

– Toć nie tabunów niewiast potrzebujemy, a jednej...

– Nie chcę byle czego!

– O kobietach w ten sposób!

– Nasze czasy nie znają jeszcze dobrodziejstw feminizmu...

– No jeszcze tego by brakowało!

– Ale jak się do tego zabrać?...

– Ja nie pomogę Waszej Królewskiej Mości.

– Ot i taki z ciebie pożytek.

– Ale znam kogoś, kto pomoże.

– Brzmi dużo lepiej. Kto to taki?

– Wszystko w swoim czasie. Proszę mi zaufać.

Król ucieszył się. Na biskupie Oleśnickim można było polegać. Tylko co on knuł? Póki co w głowie zaświtał mu pewien doskonały pomysł, choć – prawdę mówiąc – nie aż tak dalekosiężny.

– Ekscelencjo. Żałoby nie winno się przeżywać w samotności.

– Święte słowa!

– Toteż proponuję Ekscelencji moje, przepraszam..., nasze towarzystwo dziś wieczór.

– Oj, Władziu. Nie krępuj się. Poza drugoklasistami z plockiego liceum (Twego imienia zresztą!), którzy widzą tę scenę oczyma swej wyobraźni, nikt nie widzi tej naszej poufałości.

– Zbigniewie drogi, cóż bym bez Ciebie począł!
 – Miałbyś więcej własnego zdania w swych ostatnich latach rządów...
 – Co będzie, to będzie! Nie zmieniamy tego! Bawmy się szczęśliwą terażniejszością!
 – Królowa Elżbieta zesła z tego świata nie dalej niż godzinę temu...
 – Odmówi się niejedną zdrowaśkę za duszę nieboszczki – rzucił król, który jak to tam ktoś kiedyś napisał głęboko, ale krótko przeżywał śmierć swoich żon. – Zresztą nie wspominaj jej z takim rozrzewnieniem. Twój wierny fan, wspaniały zresztą, sławny piórem i innymi przymiotami, kanonik Jan Długosz nie zostawi na niej suchej nitki...
 – Ale bez jego kroniki większej krzywdy by doznała, bo i tego nikt by o niej nie napisał.
 – W sumie racja... – mądrze, choć nie bezboleśnie zauważył król, gładząc się po łysinie. – Kółko czy krzyżyk? – wykrzyknął radośnie, ostatecznie wyzwalając się z okowów żałobnej melancholii.
 – Krzyżyk.
 – To ja kółko! – rzekł z niemałym entuzjazmem i narysował kształtne kółko gęsim piórem na pergaminie. Ekscelencji nie było jednak spieszo pójść jego śladem.
 – Ekscelencjo, a czemuż to nie rysujecie?
 – Bo i tak wygrałem.
 – Dobrze sobie! To ja jestem mistrzem tej gry. Nie zakwestionujecie tego!
 – Krzyżyk musi wygrać bez względu na twoje talenta.
 – ???
 – A jako chrześcijański władca dopuściłbyś, aby jakieś kółko pokonało najważniejszy symbol chrześcijaństwa?!

Dni mijały...

Oleśnicki istotnie zaradził na wdowieństwo króla i omówiwszy sprawę ze swym kolegą z lat szkolnych – Tomaszem Kamelem, ówczesnym gospodarzem programu *Randka w ciemno* w telewizji publicznej, zaaranżował swaty króla na wizji według zasad obowiązujących w owym popularnym programie.

Odcinek z Jagiellą osiągnął rekordową, nieznaną polskim stacjom oglądalność, znacznie wyższą od oglądalności „Wiadomości”, „rodzinki.pl”, „Tańca z gwiazdami”, a nawet „Chłopaków do wzięcia”. Król wybierał mądrze (bo choć może nie wyglądał, trzeba uznać, iż w skromnym ciele krył się nadzwyczaj sprawny umysł, dzięki któremu Polska i Litwa mają szansę wspominać początek XV wieku z prawdziwą wdzięcznością) i odrzuciwszy dwie spośród trzech występujących z nim w programie kandydatek (Ofkę, bratanicę cesarza Zygmunta Luksemburga oraz Conchitę Wurst, kontrowersyjną laureatkę 59. Konkursu Piosenki Eurowizji) wybrał Sonkę Holszańską, która na cześć wielu wspaniałych polskich Zoś, też nazwała się Zofią. Po wygranej wycieczce do Wąchocka uznali, że kochają się na tyle, by wziąć ślub, zakończony hucznym weseliskiem. Podobno panna młoda czarowała wszystkich swą białą suknią kupioną na wyprzedaży w Top Secret, na stole nie brakowało pysznych dań ze stołówki Internatu Jagiellonki, a właściwą oprawę muzyczną zapewniła kultowa formacja Jagamental. Nawet Conchita Wurst zapomniała Jagielle odtrącenie i zgodziła się zaśpiewać dla małżonków przez co połowie gości nagle przypomniało się, że mają autobus powrotny do domu.

Jak Wam trudno w to uwierzyć,
 To bez tego da się przeżyć,
 Ja choć tam byłem,
 Miodu i wina nie piłem,
 Gdyż Jagiellończycy są programowymi abstynentami.
 Rymu nie było, źle się skończyło.
 AMEN

AUDYCJA ZAWIERAŁA LOKOWANIE PRODUKTU.

Autor jest uczniem klasy IIA LWJ. Tekst powstał z okazji Dnia Patrona Szkoły i został publicznie przedstawiony przez Autora w czasie stosownej uroczystości w dniu 3 czerwca Anno Domini 2014 dla należytego uczczenia Wielkiego Patrona naszego Liceum i Gimnazjum.

Kroniki polskie według klasy IA

Lata panowania władcy miłościwego i pana naszego Władysława Jagiełły ostały w pamięci ludu polskiego oraz litewskiego po wsze czasy. Pan nasz miał w posiadaniu niezliczone ilości cnót, a przy tym roztropny był wielce i przepelniony szlachetnością. Nie zażywał nigdy mąjących umysł trunków ani nie jadał pospolitych jabłek. Mądrość jego ziściła się w tym, iż dożywszy wieku dojrzałego, spłodził potomka męskiego, godnego berła królewskiego. Król nasz wiódł prym w bojowaniu, mężny był i nie znał strachu. Przed siłą jego miecza drżeli chłopci, a nawet zakonni obłudnicy.

Za swego wzniosłego żywota dane mu było wielu przygód zaznać. Roku pańskiego 1410 bronił honoru narodu naszego przed krzyżackimi najeźdźcami, udowadniając tym swą potęgę i niezmierną odwagę. Poza polem walki pan nasz uczestnikiem był wydarzeń przekraczających swym rozmiarem umysł pospółstwa. I tak oto dnia 2 sierpnia roku pańskiego 1419 w drodze z Czerwińska do Grodu Gąbińskiego Bóg okazał miłosierdzie wobec naszego władcy umiłowanego, wybawiając jego żywot od ognia błyskawicy piekielnego. Odór jego chwały pełen był zapachu siarki, a ucho jego chyże utraciło na wartości. Chociaż siły wyższe pochłonęły dusze dwóch dworzan i jedenastu koni, sam zachował byt swój podniebny, nie ostawiając poddanych swych w rozpaczce niewysłowionej.

Król nasz piętnaście lat dziękczynił Władcy Niebieskiemu za uratowanie życia, ciesząc się znakomitym zdrowiem. Wielbił swego Stwórcę wszelkimi modłami, aż do okrutnego roku pańskiego 1434. Wówczas słowiki szatańskie omamiły pana, sprawiając, iż pokochał on ich śpiew bardziej niż szlachetny żywot swój. Król Władysław Jagiełło mącił celowo swój sen spokojny, ażeby usłyszeć słodkie dźwięki słowiczego pienia. Chłodne te poranki odebrały z ziem świata doczesnego szczęście Rzeczypospolitej. Władca nasz zachorował ciężko, a z jego ust słodkich wydobywał się kaszel morderczy, powolnie odbierający oddech zwierzchnika ludu naszego. Rzecz ta działa się w miesiącach ciepłych, co raniło dogłębnie dusze nasze, gdyż uczuliśmy niesprawiedliwość losu. Dnia 1 czerwca roku pańskiego 1434 Bóg zabrał nam Władysława, pochodzącego z dynastii Jagiellonów, odbierając dług wydarzeń na drodze czerwińskiej. Chwalmy Pana, iż patron szkoły naszej, Matki Karmicielki, i Król Polski najwspanialszy mógł prowadzić byt tak długi i owocny, ku radości wszelakiej, ostawiając państwo w dobrobycie wielkim.

Natalia Brzozowska, Natalia Lewandowska – uczennice klasy IA LWJ. Tekst przedstawił publicznie w Dniu Patrona Szkoły 3 czerwca 2014 roku Konrad Wasiak. Tekst i wykonanie przyniosło klasie IA zwycięstwo w zawodach na najlepszą satyryczną wypowiedź na temat Czcigodnego Patrona Szkoły.

„Zeszyty Jagiellońskie” z twórczością Jagiellończyków

- W numerze 23. „Zeszytów Jagiellońskich” opublikowaliśmy wiersze **Adama Adamkiewicza i Krzysztofa Pietrzaka**, absolwentów liceum z roku 2008: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_04_08.pdf
- W numerze 25. „Zeszytów Jagiellońskich” z grudnia 2008 roku opublikowaliśmy wiersze i opowiadania **Lidii Grodzickiej, Mai Chwedoruk, Emilii Turkowskiej i Tomasza Terebusa**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_12_08.pdf
- W numerze 27. „Zeszytów Jagiellońskich” ze stycznia 2009 roku opublikowaliśmy wiersze **Mai Chwedoruk**. Autorski numer autorki nosił tytuł „**Jestem zielona. Wiersze wybrane**”: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr27.pdf
- W numerze 29. „Zeszytów Jagiellońskich” z kwietnia 2009 roku opublikowaliśmy wiersze i opowiadania **Lidii Grodzickiej**. Autorski numer nosił tytuł „**Opowiadania noworoczne**”: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr29.pdf
- W numerze 30. „Zeszytów Jagiellońskich” z kwietnia 2009 roku opublikowaliśmy opowiadania **Mariusza Sepiolo**. Autorski numer nosił tytuł „**Biedak z Queens Street i inne opowiadania**”: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr30.pdf
- W numerze 39. „Zeszytów Jagiellońskich” z grudnia 2009 roku z okazji IV Dnia Humanisty opublikowaliśmy wiersze i opowiadania **Mai Chwedoruk, Bartosza Dobrzyńskiego, Kaliny Maćkowskiej, Joanny Piotrowskiej, Wiktorii Przybyszewskiej, Agnieszki Tomaszewskiej, Alberta Walczaka oraz naszej absolwentki Anny Dwojnych**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr39.pdf
- W numerze 48. „Zeszytów Jagiellońskich” z grudnia 2010 roku opublikowaliśmy opowiadanie **Alberta Walczaka** (oraz jego rozprawę z XXII Olimpiady Filozoficznej), wiersze **Kaliny Maćkowskiej, Aleksandry Bogusławskiej, Wiktorii Przybyszewskiej**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr48.pdf
- W numerze 58. „Zeszytów Jagiellońskich” z czerwca 2011 roku ukazała się "**Pierwsza antologia opowiadań Jagiellończyków**": http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr58.pdf
- W numerze 62. „Zeszytów Jagiellońskich” z listopada 2012 r. ukazała się "**Druga antologia opowiadań Jagiellończyków**": http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr62.pdf
- W numerze 79. „Zeszytów Jagiellońskich” z grudnia 2012 roku ukazało się 5 opowiadań (utwory **Pauliny Boraczyńskiej, Magdaleny Olkowicz, Izabeli Rutkowskiej, Ewy Kostaneckiej (Surreal), Ewy Tyburskiej**) i jedna sztuka teatralna – utwór **Martyny Kisio**: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr79.pdf
- W numerze 94. „Zeszytów Jagiellońskich” z maja 2014 roku ukazał się tomik wierszy **Natalii Lewandowskiej**, uczennicy klasy Ia: http://www.jagiellonka.plock.pl/gazetka/zj_nr94.pdf